

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Chiński wirus i przełom

Epidemia rzuciła mocne światło na podział, który rozszczepia planetę. Po jednej stronie Chiny i ich kupieni wasale z Trzeciego Świata, po drugiej stronie USA razem z wolnym światem. Ten podział można wyobrazić sobie w jeszcze inny sposób: USA i Europa kontra Pekin. Europa musi być tu podmiotem, a nie pionkiem przestawianym na szachownicy w rękach Amerykanów i Chińczyków. Niepodległa Europa to niepodległa Polska – pisze Krzysztof Tyszka-Drozdowski w artykule opublikowanym w dwumiesięczniku „Arcana” nr 153/2020.

Dwudziesty pierwszy wiek wymierzył kolejne uderzenie w liberalny porządek. Niektórym wydawało się, że to najmądrzejszy układ polityczny i gospodarczy, jaki jest w stanie zbudować człowiek zachodni po upadku komunizmu. Niczego lepszego nie wymyślimy, dlatego historię można zamknąć. Nowe stulecie zbuntowało się przeciw takiemu stawianiu sprawy; najpierw zamachy z 11 września, potem kryzys z 2007-2008, następnie Brexit i zwycięstwo Trumpa. Reduta liberalizmu broni się już bez przekonania. Wirus nie uśmiercił jednak liberalizmu, nie zmył z oczu bielma „końca historii”. Odsłonił nam rzeczywistość, której nie byliśmy w stanie dostrzec.

Wielu nie chciało dostrzec, że największym wygranym globalizacji są Chiny i że zderzenie cywilizacji nie dotyczy wcale starcia między agresywnym islamem a USA i Europą. Świat muzułmański i świat europejski znajdują się na kursie kolizyjnym, to prawda, lecz nie ma tu mowy o rywalizacji dwu modeli. Chińska Partia Komunistyczna stworzyła swoją własną formę nowoczesnych rządów, pod wieloma względami bardziej wydajną i wydolną niż ustroje, do których przywykł Zachód. Nigdy nie zakładała, że wpasuje się w system, który powstał po wojnie i umocnił się po upadku ZSRR, od początku jej celem było stworzenie potęgi, która dyktuje warunki, a nie dostosowuje się do warunków ustalonych przez innych. Wirus z Wuhan zerwał zasłonę, aby ujawnić nam świat, jakiego wielu z nas się nie spodziewało. Podczas

gdy zapadaliśmy w sen – uśpieni melodią „końca historii” – Chiny podbijały świat. Dzisiaj nie ma wyjścia, wymówki się skończyły. Musimy oszacować straty i podjąć decyzję, co dalej.

(...)

Pod koniec stycznia Włochy wstrzymały połączenia lotnicze z Chinami, wywołując reakcję komunistycznego reżimu, nazywającego posunięcie premiera Conte mianem „przesady”. Profesor Giorgio Palù, jeden z najbardziej renomowanych wirusologów południa Europy, tłumaczy bez ogródek: rząd działał opieszale, bo obawiał się oskarżeń o „rasizm”.

Jedyny polityk, który uważał zamykanie granic za złą decyzję, to Emmanuel Macron. Gdy Słowenia i Austria wstrzymały ruch z Włochami, francuski prezydent otwarcie krytykował te kroki: „Z ręką na sercu, mówię, sądzę, że to niedobry wybór”. Ostatecznie nie został zmuszony do zamykania granic własnego kraju, ponieważ wokół wszyscy sąsiedzi pozamykali swoje. Chiński wirus, jak ujął to Hervé Juvin, geopolitolog bliski Zjednoczenia Narodowego, to „choroba globalizacji”. Brak granic państwowych zmusza do mnożenia granic między miastami i regionami, a wreszcie – między pojedynczymi ludźmi.

Tak jak świat bez granic, Unia Europejska to kolejne złudzenie bez przyszłości. Kiedy można stwierdzić zgon instytucji? Czy wtedy, gdy jej aparatura przestanie działać, czy wtedy, gdy jej duch umrze? To jedno z najciekawszych i najtrudniejszych pytań dla politycznej refleksji. Diagnoza o śmierci ducha UE – wyrażonego przez Jeana Monnet w słowach o „coraz ściślejszej jedności narodów” – wydaje się trafna. Jak powiedział Nigel Farage, teraz wszyscy jesteśmy nacjonalistami. Państwa były zmuszone radzić sobie same i robiły to, nie zwracając uwagi na Brukselę.

Unia Europejska nasuwa porównania ze starożytnym Rzymem. Gdy cesarstwo rozpadało się plądrowane przez barbarzyńców, podzielone na enklawy troszczące się o własne przetrwanie, jego biurokracja pracowała dalej. Agonia instytucji może się długo przeciągać, ostatnie dekady świetnie to uzmysławiają. Odrzucenie konstytucji, kryzys zadłużenia, kryzys wartości, których nie szanują podobno Polska i Węgry, kryzys migracyjny, rozpad „francusko-niemieckiego tandemu”, rozbijanego wcześniej przez kwestię kryzysu greckiego, a potem kryzysu uchodźczego, w końcu opuszczenie struktur przez Wielką Brytanię – wstrząsom nie widać końca. Kumulacja kryzysów nie zburzyła tej budowli, lecz epidemia roztrwonila resztki autorytetu moralnego, jaki przechowywała Bruksela. Pozostał las przepisów, przez który manewrują państwa, którym członkostwo jeszcze się opłaca.

*Gdy cesarstwo rozpadało się
plądrowane przez
barbarzyńców, podzielone na
enklawy troszczące się o
własne przetrwanie, jego
biurokracja pracowała dalej*

Opuszczone przez
wszystkich Włochy
muszą stanowić
przestrożkę na
przyszłość.
Wspólnota
Europejska rzuciła
ten kraj na pastwę
losu, chociaż był on

wśród tych, które zakładały UE i pomimo faktu, że to trzecia największa gospodarka strefy euro. Sondaże uchwyciły złość Włochów: 88% uważa, że struktury europejskie im nie pomagają, a odsetek, który twierdzi, iż członkostwo w UE niesie ze sobą korzyści, spadł do 17%.

Włoska tragedia pozostała bez odpowiedzi. Tysiące ofiar, wyczerpani lekarze, złamane społeczeństwo, które za plecami zarazy widzi już nadchodzący kryzys gospodarczy, nie otrzymało żadnego wsparcia od Unii. Niemieccy intelektualiści napisali za to list, który ukazał się w „Bildzie”. Zatytułowano go „Siamo con voi!”, czyli „Jesteśmy z wami”. Artykuł naszpikowano pobłażliwymi stereotypami, które Niemcy uznają za prawdę na temat życia na Południu. „Daliście nam dobre potrawy. [...] Chcieliśmy umieć gotować makaron jak wy, pić Campari, tak jak wy to robicie i kochać, tak jak wy to umiecie”. Nie takimi słowami przemawia się do narodu, który opłakuje setki ofiar dziennie.

Włochy to punkt zapalny strefy euro. Kryzys, który tam wybuchnie po przejściu zarazy, może wysadzić tę konstrukcję walutową w powietrze. Pod koniec zeszłego roku kraj zmierzał w stronę recesji, chociaż ledwo wy dostał się z ostatniej. W grudniu 2019 r. trzeba było ratować bank z południa Półwyspu, Banca Popolare di Bari, chociaż od Lombardii po Sycylię nastroje były ponure: na koniec ubiegłego roku 17% Włochów oceniało swoją sytuację finansową jako zadowalającą. Dla porównania, w Holandii i w Niemczech tego zdania było odpowiednio 90% oraz 87% obywateli. Horyzont nabiera jeszcze ciemniejszych barw, bo Międzynarodowy Fundusz Walutowy oblicza, że po ataku chińskiego wirusa włoski dług publiczny urośnie do 137% PKB.

Rzym ma jednak ciągle skrępowane ręce żelaznymi regułami wydatkowymi Eurozony, przez co nie może zasilić swojej gospodarki inwestycjami. Ekonomista Ashoka Mody wykazał niedawno, że przyjęcie wspólnej waluty oznaczało dla Włochów zapaść gospodarczą, z której przez ostatnie 20 lat nie byli w stanie się dźwignąć. Strefa euro to strefa śmierci dla włoskiego wzrostu gospodarczego. Czy populiści wywrócą ten porządek i wyprowadzą Włochy z UE? To może okazać się kłopotliwe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że aby ogłosić na Półwyspie takie referendum, jakie przeprowadzili Brytyjczycy, należałoby zmienić konstytucję.

W obliczu katastrofy, jaka przetaczała się przez Włochy, Hiszpanię i Francję – demokracje nieliberalne z Europy Środkowej zostały względnie oszczędzone, podobnie Niemcy z wielkimi nadwyżkami budżetowymi – Unia odreagowywała w sposób surrealistyczny. Otworzyła negocjacje, których zwieńczeniem ma być przyjęcie Albanii i Macedonii w obręb Wspólnoty.

Następne złudzenie, z którym się pożegnamy, to wiara w instytucje międzynarodowe. W czasie epidemii wirusa z Wuhan WHO pogrzebało całkowicie swoją i tak już nadwyreżoną reputację.

Porządek internacjonalistyczny wyrobił w wielu politykach i osobach publicznych głębokie skrzywienie poznawcze. To upośledzenie poznawcze prowadzi do tego, że próg krytyki, jaki jest w stanie znieść

wyznawca idei internacjonalistycznych, jest niezwykle niski. Tak jak kibic danego zespołu nie będzie sądził, że jego drużyna zawodzi, tylko że to sędzia ich krzywdzi, tak samo wierni przekonaniom internacjonalistycznym będą na siłę wyszukiwać argumenty przeciw stanowiskom krytycznym wobec ich dogmatów. Tak więc WHO uczulało, że nie powinno się zamykać granic, a jej przewodniczący, Tedros Adhanom Ghebreyesus, przez całe tygodnie wstrzymywał się z ogłoszeniem pandemii i dziękował Chinom za to, że uczyniły świat bezpieczniejszym dzięki swojej walce z wirusem z Wuhan. W ślady Tedrosa, który chwalił Chińską Partię Komunistyczną, bo „kupiła czas Zachodowi”, poszedł inny wysoki dygnitarz WHO, Kanadyjczyk Bruce Aylward. Spędził w mediach wiele godzin podziwiając metody chińskich komunistów, wyznał nawet, że gdyby zachorował na wirusa, to chciałby być leczony w Państwie Środka. Gdy dziennikarka z Tajwanu poprosiła go o ocenę tego, jak jej kraj poradził sobie z epidemią – a udało mu się to nadzwyczaj dobrze – Aylward udawał najpierw, że nie słyszy pytania, a gdy rozmówczyni je powtórzyła, rozłączył się. Gdy wrócił na wizję i ponownie postawiono mu to pytanie, odparł jedynie, że „już mówiliśmy o Chinach i Chiny radzą sobie bardzo dobrze”. Dla WHO, dokładnie tak jak dla reżimu Xi Jinpinga, Tajwan nie istnieje jako niepodległe państwo.

Epidemia odkryła przed nami, jak mocno uzależniliśmy się gospodarczo od Chin. Gdy komunistyczna gazeta „Xinhua” zagroziła Stanom Zjednoczonym, że jeśli będą agresywne, to chińskie imperium pozwoli im utopić się „w morzu koronawirusów”, poprzez odcięcie dostaw antybiotyków, wyszedł na jaw niezdrowy charakter gospodarczych relacji z Chinami. Dobra egzystencjalne, bez których podstawy narodowego bezpieczeństwa są zagrożone, nie mogą być w garści wrogich potęg. Donald Trump i republikańskie jastrzębie, jak senator Tom Cotton czy Marco Rubio, mieli rację.

Ten ostatni ostrzegał przed utratą zdolności produkcji podstawowych leków, które teraz niemal w całości wytwarzają Chiny. Liczby są tu zatrważające dla Ameryki: 95% importowanego ibuprofenu pochodzi z Chin, tak samo 91% hydrokortyzonu, 45% penicyliny i 40% heparyny.

80% amerykańskich antybiotyków jest produkowanych w Chinach. Położenie Europy wcale nie jest lepsze, na naszym kontynencie nie ma nawet żadnej fabryki paracetamolu.

Czy globalizacja, czyli proces przenoszenia fabryk i kluczowych łańcuchów dostaw z Zachodu do Chin, nie była sinifikacją? Wielkie korporacje prywatyzowały zyski, a narody ponosiły całe koszty i ryzyko, budując przy tym gospodarczą siłę Pekinu. Europa i USA nie posiadały produkcji maseczek na wielką skalę, nie wytwarzały żelów dezynfekujących ani ubrania ochronnego, którego brakowało we wszystkich szpitalach, od Madrytu po Brukselę i od Seattle po Miami. Przed wybuchem epidemii amerykańskie zapasy strategiczne miały na stanie jedynie 12 milionów masek N95, ułamek wymaganych 3,5 miliarda.

Przesuwanie wytwarzania tych fundamentalnych dóbr już napotyka na przeszkody ze strony wielkich korporacji. Farmaceutyczne olbrzymy opierają się dekretowi Trumpa, który chciał przenieść większość produkcji do kraju.

Utopia wolnego handlu zginęła na naszych oczach. Ściąganie łańcuchów dostaw z Chin nie stanowi wcale programu nacjonalistycznego, tylko odruch zdrowego rozsądku wobec kryzysu, który przechodzimy. Takie posunięcia cieszą się poparciem od lewa do prawa, nie liczy się tu partyjne ubarwienie. Wolny handel działa tylko pod tym warunkiem, że ludzie, którzy stracili pracę przez import, znajdują w innych branżach równie dobre zajęcia. Poparcie dla populistów i zwycięstwo Trumpa świadczą o tym, że stało się coś odwrotnego. Zamykanie fabryk i otwieranie ich w Chinach zubożyło całe warstwy społeczeństw zachodnich, podcinając gospodarczy korzeń wspólnoty. Hasło reindustrializacji krąży po Europie i Ameryce od lat, bo straty, jakie wyrządziło wygaszanie przemysłu, były odczuwalne już długo. Teraz klimat polityczny nakłoni tych, którzy nie chcieli słuchać, aby wreszcie przyjęli argumenty poszkodowanych narodów.

Niemal cały Zachód uroił sobie, że wolny handel to lekarstwo na totalitaryzm. Wystarczy prowadzić interesy z Chinami, pozwolić im się bogacić, aby strząsnęły skorupę komunizmu i rozwinęły w sobie

*Utopia wolnego handlu
zginęła na naszych oczach.
Ściąganie łańcuchów dostaw z
Chin nie stanowi wcale
programu nacjonalistycznego,
tylko odruch zdrowego
rozsądku wobec kryzysu*

demokratyczny
zapał. Trudno o
bardziej
przestrzeloną
prognozę. Pekin
zbudował
technotalitaryzm,
jakiego historia
jeszcze nie widziała
na oczy.

Chiński wirus zamknął epokę hiperglobalizacji, tak jak Wielka Wojna zamknęła pierwszą epokę globalizacji (1870-1914). Czy rozpoczyna się czas samowystarczalności? Czy Europa będzie w stanie wywalczyć sobie niezależność w obszarze egzystencjalnych zasobów? Czy dążenie do niezależności obejmie również takie dziedziny jak energia i internet? Trudno powiedzieć i być może skończymy gdzieś w pół drogi: na liberalizmie z podwyższoną tolerancją na gospodarczy nacjonalizm.

Państwa, które zachowały jednak gospodarczą sterowność, stawiają bariery przed Chinami. Niemcy otrząsnęli się, gdy Pekin chciał wykupić producenta robotów Kuka. W 2019 r. trwały prace nad ustawą, która uniemożliwiłaby przejęcia takich strategicznych firm przez podmioty zagraniczne. Była wtedy mowa, aby te rozwiązania przenieść na szczebel unijny, lecz sprawa się urwała. Europa zyskała teraz świadomość, że Chiny w tym wymiarze stanowią niebezpieczeństwo strategiczne i to dobry moment, aby wprowadzić osłony dla europejskich przedsiębiorstw przed przejęciami przez kraje pozaeuropejskie.

W Japonii – w państwie, w którym nie zanikł zmysł strategiczny – już pod koniec ubiegłego roku ponad 1000 firm chciało wyprowadzić swoją produkcję z Chin. W czasie epidemii rząd ogłosił program opiewający na 2,2 mld dolarów, mający na celu wsparcie powrotu produkcji do kraju.

Epidemia chińskiego wirusa obnażyła słabości państw Zachodu. Wobec braku maseczek, strojów ochronnych, testów i maseczek, Éric Zemmour nazwał Francję krajem Trzeciego Świata. Ten kryzys wyciągnął na wierzch kompromitujące i długoletnie zaniedbania.

Wielu dziennikarzy i analityków wskazywało na tę epidemię jako na „czarnego łabędzia”. To termin, który rozpowszechnił Nassim Nicholas Taleb, autor książki pod tytułem Black Swan. „Czarny łabędź” to wydarzenie nie do przewidzenia, coś nieobliczalnego, na co właściwie nie jesteśmy w stanie się przygotować. Taleb postawił jednak niedawno sprawę jasno: epidemia to całkowite przeciwieństwo zdarzenia niespodziewanego, to raczej biały, a nie czarny łabędź. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tych, którzy nie byli przygotowani na epidemię, bo to zjawisko, które regularnie nawraca w dziejach ludzkości i w tak złożonym świecie jak nasz, wirus, który ogarnia całą planetę, to wariant, który musiał się w końcu ziścić. Niektóre państwa zachowały się roztropnie, jak Singapur, który swój plan działania miał opracowany już w 2010 roku. (...)

Większość rządów była jednak osłupiała. Jedną z najbardziej zdumiewających anegdot pochodzi z Belgii, gdzie w 2015 roku dwa hangary wypełnione maseczkami zostały opróżnione – sprzęt spalono – aby zrobić miejsce dla imigrantów. Instytucje, które nie tylko nie rozważają najgorszego biegu wydarzeń, lecz ponadto niszczą warunki skutecznej odpowiedzi na kryzys, nie są po prostu niesprawne, tylko wprost samobójcze. Liberalne demokracje dekorowały się wartościami moralnymi – otwartością, tolerancją, ubóstwieniem mniejszości –, ich elity rościły sobie pretensję do oświecenia umysłowego, a dziennikarze zarzekali się, że są wierni prawdzie. Cały ten układ okazał się zdezorientowany i bezradny wobec epidemii, narażając narody na wielką krzywdę. (...)

Teoretyk stosunków międzynarodowych, Stephen Walt, słusznie zauważył, że epidemia to kolejny znak zmierzchu USA jako kraju kompetencji. Obraz Stanów Zjednoczonych jako państwa, które jest w stanie poradzić sobie z każdym wyzwaniem społecznym, militarnym czy technologicznym, wizerunek kraju, gdzie tworzy się rozwiązania dla problemów całego świata, upadł. Zaczęło się od Clintona i

molestowania, potem była administracja Busha, która nie wzięła na poważnie ostrzeżeń przed zamachem terrorystycznym na Nowy Jork, dalej skandale z Madoffem i Enronem, fiasko zamiast energicznej odpowiedzi na huragany Katrina i Maria, niemożność odniesienia zwycięstwa w wojnach w Iraku i w Afganistanie, poronione interwencje w Libii, w Syrii i w Jemenie, krach z 2008 roku, wreszcie fiasko Boeinga 737 Max.

(...)

Inny defekt współczesnych instytucji demokratycznych – nie tylko amerykańskich - bystrze wytknął ekonomista Larry Summers. Opisał to jako „promiskuityczną dystrybucję władzy weta”. Chodzi tu o sytuację, w której zbyt wiele podmiotów posiada prawo weta, wskutek czego mnóstwo potrzebnych zasobów pozostaje niewykorzystanych, ponieważ przekonanie odpowiednich podmiotów do współpracy jest zbyt kosztowne.

Wirus najpierw pojawił się w Chinach i to Chiny są odpowiedzialne za skalę epidemii. Badanie Uniwersytetu z Southampton pokazało, że gdyby Chińczycy zareagowali trzy tygodnie wcześniej, zamiast lekceważyć chorobę, to rozmiar epidemii byłby mniejszy o 95%.

To nie pierwszy raz, gdy chińscy komuniści postępują w ten sposób. Na początku 1997 roku, niedługo po tym, jak Chiny przyjęły zwierzchnictwo nad Hong Kongiem, wybuchła epidemia H5N1, „ptasiej grypy”. I choć 80% jego drobiu pochodziło z Chin, Hong Kong nie mógł wskazać, skąd wzięła się choroba. Pekin utrzymywał, że cały drób Państwa Środka jest zdrowy.

Tak samo było w 2002 i 2003 roku, gdy pojawił się SARS, również wywołany przez formę koronawirusa. Przybywało zarażonych, lecz Chiny podawały WHO niedoszacowane liczby i pomniejszały znaczenie choroby. Komuniści ukrywali fakt epidemii przez miesiące, pozwalając

na to, aby tysiące ludzi zarażały się i krążyły po kraju i całym świecie. Pekin zawiadomił o wirusie WHO dopiero w lutym 2003 roku, w kilka miesięcy od zanotowania pierwszych przypadków.

Tym razem Chińczycy znów twierdzili, że wirus jest niegroźny i że nie przenosi się z człowieka na człowieka. Te informacje podawała dalej WHO, organizacja skorumpowana przez reżim Xi Jinpinga.

Zachód był święcie przekonany, że Chiny staną się odpowiedzialnym członkiem wspólnoty międzynarodowej. Była to mrzonka i przychodzi nam teraz za nią słono zapłacić. Setkami tysięcy żyć i miliardami wydanymi na pomoc dla ledwo dyszących gospodarek.

Komuniści z Państwa Środka kładą wielki nacisk na propagandę. Xi Jinping uruchomił kampanię, której nie można porównać z niczym, co widziano w Chinach przez ostatnie ćwierć wieku. Uciszał dysydentów i kneblował usta krytykom, muzułmańską mniejszość Ujgurów zamknął w obozach koncentracyjnych, internet objął ścisłą cenzurą. Czerwona propaganda rozlewa się po świecie w myśl precyzyjnego planu; jej rozsadnikami są Instytuty Konfucjusza (Polska ma ich sześć), otwierane w Europie i w USA, aby czuwać nad wizerunkiem Chin za granicą – ze swojego terytorium usunęła je Szwecja, swoje dochodzenia prowadzą USA, Wielka Brytania i Australia. Akcja propagandowa miesza się z działalnością czysto wywiadowczą, jak w przypadku „Programu Tysiąca Talentów”, w ramach którego dokonuje się kradzieży własności intelektualnej i technologii. Gdy kryzys przeminie, w strategicznym interesie będzie leżeć przeświecenie zasięgu chińskich wpływów w europejskich społeczeństwach, ze szczególnym uwzględnieniem uczelni oraz mediów.

(...)

Gdy wolny świat prowadził wojnę z wirusem, Chiny prowadziły wojnę propagandową. Strategia Pekinu przypomina strategię, jaką stosuje Putin, polegającą na sianiu niepewności, zalewaniu przestrzeni publicznej wykluczającymi się teoriami, aż do osiągnięcia stanu całkowitego zamętu. Komunistyczny rzecznik spraw zagranicznych,

Zhao Lijian, rzucił podejrzenie na USA, oznajmiając, że chiński wirus to sprawka CIA. Kolejni czerwoni dygnitarze rozpowszechniali te insynuacje.

Gdy Unia Europejska sporządziła raport dotyczący zakresu chińskiej propagandy w związku z wirusem z Wuhan, została zastraszona przez Pekin. Wysocy rangą politycy reżimu Xi Jinpinga mieli dać do zrozumienia, że będą bardzo zagniewani, jeśli ten raport wyjdzie na światło dzienne.

Nie powinniśmy się łudzić, że dowiemy się od Chin prawdy na temat wirusa. Tak jak w przypadku Czarnobyla, gdy Sowieci ukrywali prawdę i podawali spreparowane informacje, tak tutaj fakty zostaną przykryte siecią propagandowych zakłamań. Nie ma jednak wątpliwości, że jeśli Europa i USA przemilczą winę Chin ze epidemię, to będzie to ostateczny dowód, iż nie są w stanie oprzeć się potędze Xi Jinpinga. Europa nie ma kręgosłupa, aby stawić opór i to Trump wydaje się jedynym, który jest w stanie uderzyć w strategiczne interesy komunistów z Pekinu.

(...)

Liberalizm to forma anestezjologii. Elity odurzają nim społeczeństwo, aby to nie zmusiło ich do spojrzenia rzeczywistości prosto w oczy. Brakuje jednak środków, aby zagłuszyć rzeczywistość epidemii: granice, mocne państwo, solidarny naród, suwerenność, to wszystko rzeczywistość, której nie można ani pominąć, ani przesłonić. Dbanie o interes własnego kraju to nie egoizm, lecz troska o naród, wznoszenie granic to nie groźba wobec obcych, lecz osłona dla wspólnoty, patriotyzm gospodarczy to nie przesąd z lat 30., lecz konieczny wymóg lat 20. XXI wieku. Historia nie dobiegła końca. Zderzenie cywilizacji nabrało tempa.

Wirus to tragedia dla milionów ludzi. Na płaszczyźnie strategicznej stanowi jednak chwilę przebudzenia. Gdyby epidemia nastąpiła za dziesięć lat, to byłoby już za późno, nikt nie mógłby stawić Chinom oporu, bo byłyby zbyt potężne. Otrzeźwieliśmy w ostatniej chwili.

Historycy przyszłości będą opowiadać o tym wydarzeniu przykładając dwie soczewki: w jednej ukaże się wymiar ludzkiego cierpienia, w drugiej politycznej szansy, która nie trafia się często. Uderzenie wirusa z Wuhan to tragedia, bo pochłonął wiele istnień i zrujnował gospodarkę, lecz jednocześnie zerwał łuski z oczu i ukazał nam prawdę o chińskich zamiarach.

Epidemia rzuciła mocne światło na podział, który rozszczępia planetę. Po jednej stronie Chiny i ich kupieni wasale z Trzeciego Świata, po drugiej stronie USA razem z wolnym światem. Ten podział można wyobrazić sobie w jeszcze inny sposób: USA i Europa kontra Pekin. Europa musi być tu podmiotem, a nie pionkiem przestawianym na szachownicy w rękach Amerykanów i Chińczyków. Niepodległa Europa to niepodległa Polska. Przelaliśmy tyle krwi i poświęciliśmy tak wiele zasobów duchowych i materialnych, żeby odzyskać i utrzymać niepodległość, że nie potrafimy myśleć poza kategoriami państw narodowych. Tak, państwa narodowe są bardzo pożyteczne. Mogą służyć za barierę, która chroni przed wirusem, mogą służyć za zapórę, która osłania przed nierównościami ekonomicznymi, mogą być tarczą, która broni kultury. Widzimy jednak z dnia na dzień, jak ta tarcza kruszy się i słabnie. Przyjdzie dzień, że będziemy wmawiać sobie, iż ciągle nas chroni, lecz w rzeczywistości będzie już po wszystkim.

Epidemia chińskiego wirusa rozdarła nie tylko mgłę, która zaćmiewała przyszłość geopolityczną, lecz może również przyszłość ustrojową liberalnych demokracji. Zwiastunami zmian są posunięcia gigantów cyfrowych takich jak Facebook czy Google.

Ten pierwszy – w imię cenzurowania wypowiedzi, które nie są zgodne z zaleceniami WHO – usunął nagrania zamieszczone przez prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro, w których oznajmiał on, że chlorochinina stanowi skuteczny lek na chorobę z Wuhan. Firma Zuckerberga złamała zasadę, której dotąd usiłowała podobno być wierną – nierozciągania cenzury na wypowiedzi polityków. Również YouTube postanowił wyrzucać filmy, które nie spełniają wymagań WHO, a więc organizacji,

która jeszcze w lutym utrzymywała, że zamykanie granic to bezpodstawna decyzja, a pandemię ogłosiła dopiero 11 marca. Żyjemy w świecie cenzorów, których nikt z nas nie wybierał.

Google z własnej nieprzymuszonej woli zaczęło dzielić się z rządami danymi geolokalizacyjnymi dotyczącymi swoich użytkowników. Epidemia może jeszcze bardziej przyspieszyć nasiąkanie życia codziennego – w wymiarze polityki, pracy i bezpieczeństwa – technologiami cyfrowymi, zwiększając władzę w rękach wielkich firm, bo państwa nie rozporządzają narzędziami, którymi dysponują ci giganci, muszą więc na nich polegać.

Robert Higgs w swojej książce *Crisis and Leviathan: Critical Episodes in the Growth of American Government*, dowodzi, że gdy następuje szybki rozrost państwa w dobie kryzysu, to po jego zażegnaniu władza wcale się nie kurczy. Narzędzia do cyfrowego namierzania i zbierania danych, w jakie wyposażyły się w trakcie epidemii niektóre państwa, przetrwają ten kryzys.

Trudno zaprzeczyć, że cyfryzacja usprawnia życie państwowe i zwiększa wydolność instytucji. Trzeba jednak wyznaczyć granicę, poza którą ani państwo, ani wielkie technologiczne korporacje nie powinny wykraczać. Aldous Huxley ostrzegał, że autorytaryzm sprzęgnięty z nauką będzie niemożliwy do obalenia. Obyśmy nie musieli sprawdzać, czy miał rację.

Z epidemią najlepiej poradziły sobie kraje Azji Południowo-Wschodniej. Politycy i publicyści z Europy – nie wspominając o Polsce – niewiele wiedzą o tych państwach, a jeszcze rzadziej dopuszczają do siebie myśl, że stamtąd może płynąć wzór do naśladowania. Singapur i Tajwan nie musiały uciekać się do metod średniowiecznych i więzić ludzi w domach, aby zatrzymać chorobę. Ich myśl państwowa nie ma w sobie nic z liberalnego lekceważenia instytucji, ani z europejskiego ociężałego biurokratyzmu. Namysł nad ustrojem i drogą polityczną krajów tej części Azji przypominałby nam o wielu prawdach, o których zapomnieliśmy i o wielu takich, które kazano nam wyprzeć.

Trzeba rozliczyć merytokratyczny ideał. Nie prowadzi on do selekcji elity zdolnej przewidywać zagrożenia i uodparniać państwo na kryzysy. Wielkie modele matematyczne, przewidujące ilość zachorowań i zgonów, które ogłaszali eksperci, miały się z rzeczywistością i to z rozmachem. Należy wyciągnąć z tego wnioski. Świat stał się zbyt złożony, aby odrzucić udział specjalistów w rządzeniu i taki postulat byłby bezmyślny; zawód, jaki sprawiły nam kadry eksperckie, powinien jednak skłonić nas do jeszcze ostrzejszej i bardziej zasadniczej selekcji. Przed Polską dopiero prawdziwa reforma kształcenia wyższego, czyli dostosowanie jego metod i struktur do potrzeb nowoczesnego państwa. (...)

Co dalej z liberalizmem? To przepis na słabość cywilizacji. Włoski filozof Diego Fusaro tak podsumował ostatnie miesiące: „wmawiano nam, że granice należy znieść. Że prywatne jest lepsze niż publiczne. Że państwo to zło. Że szpitale należy zamykać ze względów ekonomicznych. (...) Wystarczył jeden wirus, aby pokazać, że liberalizm jest fałszem”.

Co dalej z liberalizmem? To przepis na słabość cywilizacji

Liberalizm może być zasadą naszej słabości, lecz czy to oznacza, że doczekamy się kresu

jego panowania? Historia cesarstwa rzymskiego pokazuje coś ponurego - rozciągającą się dekadencję. Dopuszczam wariant, że schyłek porządku liberalnego będzie długi, jego sklerotyczne instytucje i refleksy Pawłowa nadal będą działać, bez żadnego głośnego upadku, ani bez żadnego głębokiego przeobrażenia.

To może prowadzić do wniosku, że w takim razie świat zagarną Chiny i ostatecznie rozbiją zmurszały porządek. To niekoniecznie prawda. Można założyć, że wejdziemy w epokę konwergencji w dekadencji i stagnacja gospodarcza i wyczerpanie intelektualne, które stanowi los Europy i Stanów, dotknie również Państwa Środka. Tak było z Europą w latach 50. i 60., gdy rozpędzone gospodarki Starego Kontynentu miały dogonić, a w oczach niektórych przegonić USA. Nie doszło do tego i po obu stronach Atlantyku nastąpiło osunięcie w „wieczną stagnację”.

Chiny – można tu również wliczyć choćby Indie – mogą mieć już za sobą okres inkasowania łatwych zysków, a zmęczenie demograficzne może dać się im we znaki szybciej niż sądzimy.

Pamiętajmy, że chińska gospodarka wcale nie znajdowała się przed kryzysem w dobrej kondycji. Aż do 2015 roku powiększała się 10% rocznie, potem następuje załamanie i wzrost wynosi jedynie 7%. Eksperci zgodnie wskazują na ten rok jako chwilę, gdy dane Pekinu tracą wiarygodność, w domyśle: wzrost może być o wiele mniejszy niż podają komuniści.

Chen Tianyong, inwestor zajmujący się nieruchomościami, zbiegł w 2019 roku z Chin na Maltę i ogłosił manifest, w którym podzielił się pesymistycznymi zapatrywaniami na przyszłość swojej ojczyzny. Porównał tam chińską gospodarkę do wielkiego okrętu, który zmierza nad przepaść.

Nigdy jeszcze za mojego życia świat nie był w tak płynnym stanie jak dziś. Wybory, których dokonamy w nadchodzących latach, przesądzą o losie państw i określą na najbliższe dziesięciolecia ich miejsce w układzie sił. To nie strach pchnie nas do zmian, lecz tylko wola, która zrodzi się wewnątrz narodów. (...)

Czas, w który wchodzimy, to epoka rekonstrukcji. Rekonstrukcja na błędnych podstawach może być gorsza od upadku, z którego nas podnosi, bo przygotowuje upadek bardziej rujnujący. Czasu będzie niewiele, miejsca na refleksje mało, a chwila będzie naciskać, żeby budować. Hannah Arendt w swoim O Rewolucji opisywała dwa różne przewroty, jeden udany i twórczy, a drugi jałowy i niszczycielski. Któregoś dnia rekonstrukcje naszych czasów znajdą swojego pisarza i ten podział okaże się równie dobitny.

Moje pokolenie musi odrzucić od siebie kwestie zbędne, albo samo stanie się zbędnym pokoleniem. Kryzys, przez który przechodzimy, powinien skończyć z życiem ułatwionym, z całą koncepcją życia, która zakłada, że możemy przeżyć je bez wysiłku, bez dyscypliny i wyrzeczeń, bez świadomości, że nasz los jest zrośnięty z losem państwa i naszej wspólnoty, bez świadomości, iż świat to groźne miejsce, gdzie trwa walka między potęgami. Największymi przegranymi nie są tutaj ci, którzy mają mniejsze zasoby. Największymi przegranymi są ci, którzy nie wiedzą, że walka trwa.

Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Warszawa, początek maja 2020

Pełny tekst ukazał się w dwumiesięczniku Arcana nr 153/2020